

Krzysztof Masłoń – *Moskale w Warszawie*

„Rzeczpospolita”
nr 234 (6-7 X 2007 r.)

W Polsce też palono książki – na moskiewskie żądanie. O tym i innych zajmujących zdarzeniach z naszej historii przypomina wydana po raz pierwszy powieść Władysława Zambrzyckiego *W oficynie Elerta*.

Książka zbudowana jest na kanwie studium Ludwika Kubali *Poselstwo Puszkina w Polsce*, z którego z lubością czerpał też, między innymi, Paweł Jasienica w *Rzeczpospolitej Obojga Narodów*. Misja posła Puszkina miała miejsce w roku 1650 w Warszawie. To czas powstania Chmielnickiego, świetnie znany czytelnikom *Trylogii* Henryka Sienkiewicza: po oblężeniu Zbaraża i ugodzie w Zborowie, a przed wiktoria pod Beresteczkiem.

Czytając *W oficynie Elerta*, jesteście więc jakby w epilogu *Ogniem i mieczem*. Sienkiewicz jednak o misji posła Puszkina nie pisał i nic w tym dziwnego, zważywszy, że z góry musiał z treści *Trylogii* wykluczyć wojny moskiewskie. W tych miejscach zaś, gdy nie mógł pominąć Moskali, nazywał ich z łacińska Septentrionami.

Z powodów cenzuralnych nie mogła się także ukazać w PRL powieść Władysława Zambrzyckiego. Napisał ją w 1959 r., trzy lata przed śmiercią, nawet nie zabiegając o jej publikację. Jeśli bowiem ktoś zastanowi się nad genealogią antyrosyjskich uprzedzeń, tak żywych wciąż w Polsce, odpowiedź znajdzie w tej książce. Moskale, którzy pojawiają się na jej kartach, wręcz prześcigają się w chamstwie, pysze, głupocie, chciwości, okrucieństwie i pijaństwie.

Przybywszy do Warszawy, poseł Jerzy Gawryłowicz Puszkina „na dzień dobry ściał się” z witającymi wysłannika cara Aleksego pod czasym litewskim Tyszkiewiczem i chorążym koronnym Wesslem. Ten ostatni jakiś czas przysłuchiwał się w milczeniu wymianie zdań między Tyszkiewiczem a Puszkinem, narzekającym, że nie jest dostatecznie honorowany. Wreszcie Moskal zainteresował się i jego osobą: – Ej, chorunży, dlaczego ty nic nie mówisz, dlaczego mnie nie witasz? – Bo nie znam waszej mowy. – Tak na cóż ciebie, głupiego, król tu przysłał? – indagował Puszkina dalej. – Nie ja głupi, jeno mnie do pilnowania głupich przysłano. – Bładin syn twój hajduk, razem z tobą, ot co! (Nieznającym rosyjskiego podpowiadam, że Puszkina wcale się nie martwił błądzeniem syna Wessla).

Dialog ten jest niemal dosłownie przytoczony ze *Szkiców historycznych* Kubali, podobnie jak informacje o handlu sobolimi skórą, czym zajmowali się w Warszawie członkowie licznego orszaku moskiewskiego posła. Czy jednak bojarzy wykrzykiwali przy tym – jak czytamy – „U nas wsiego mnogo, u nas bogato!”, tego nie wiemy. Zapewnienia te przypominają raczej deklaracje Sowietów, którzy po zajęciu w 1939 roku naszych ziem wschodnich przechwalali się przed Polakami bolszewickim dobrobytem. Zaraz też dowodzili tego, zdejmując swoim rozmówcom zegarki z rąk. I taką scenę znajdziemy w książce Zambrzyckiego, kiedy to jedną z person moskiewskiej misji zafascynuje prototyp nieznanego

urządzenia. Czy to wtedy po raz pierwszy rozległ się okrzyk, który przeszedł do historii stosunków polsko-rosyjskich: „Dawaj czasy!”?

Tę pisaną do szuflady powieść tworzą rzekome zapiski czynione przez postaci historyczne – drukarza Stanisława Piotrkowczyka i Jana Aleksandra Gorczyna, człowieka wielu talentów, próbującego, między innymi, publicystyki. To on był autorem panegirycznej broszury *Pamięć o cnotach, szczęściu, dzielności najaśniejszego i niezwykłego monarchy, Władysława IV*, którą symbolicznie spalono w Warszawie na żądanie posła Puszkina. Przyczyniło się to jednak tylko do zainteresowania warszawian drukami zawierającymi – zdaniem przybyszów z Moskwy – niedopuszczalne „bezcztja”. Mieszkańcy stolicy wykupili „natychmiast wszystkie egzemplarze, jakie tylko jeszcze były u księgarzy. Nigdy nie należy wydawać rozporządzeń zanadto głupich” – ponad 300 lat później komentował to wydarzenie Paweł Jasienica.

Cóż takiego napisał Gorczyn, ten nieomalże brat bliźniaczy – co zaznacza w posłowie wydawca książki Zambrzyckiego Przemysław Cieślak – Benedykta Chmielowskiego, sławnego encyklopedysty, twórcy *Nowych Aten*. „Obydwaj ci polihistorowie – pisze Cieślak – uosabiają identyczny typ niepohamowanego zachwytu dziwami, cudami i wspaniałościami świata. Obydwaj, żądni wiedzy pełnej, kompletnej, kolekcjonowali informacje zachłannie, żarłocznie – i absolutnie bezkrytycznie”.

Co zatem imć Gorczyn miał do powiedzenia o Moskalach: „Słowa są niedotrzymujący, do pijaństwa skłonni. Potrawy ich czosnek, cebula, rzepa, grzyby, suchary i kapusta, a od takich delicji Moskal, bo więcej ich nie ma, śmierci nie aprehenduje (nie dba o nią – przyp. K.M.) ani wieczności szczęśliwej, o której ledwo słyszał. Nie szanuje też swojej Festki czy Paraszki, bo to szpetne grubianki. Żona od męża cierpiąc potłuczenie, za znak miłości je pamięta. Najzacniejszy u nich bojar chłopem carskim zwać się ma za honor, a skarcony przez cara sam się oskarża, o co by ten chciał, nawet o winy niepopelnione. Taki jest tego plemienia charakter, rzecz dla nas niepojęta”.

Oczywiście, poseł Puszkina nie przybył wyłącznie po to, by wymóc na królu i senatorach spalenie nieżyczliwych Moskwię ksiąg. Lista żądań Moskali była długa, a obejmowała i oddanie Smoleńska, i pół miliona złotych kontrybucji, wbicie na pal księcia Jeremiego Wiśniowieckiego (tego samego!), a gdzieś na końcu tego „koncertu życzeń” znalazło się obicie drukarzy knutem i unicestwienie pism, w których – o zgrozo – przy wymienianiu imienia cara Aleksego nie dodawano np. „hospodar wielki”.

Moskwa chciała wykorzystać moment – jak się jej zdawało – słabości Rzeczypospolitej. W końcu pokój zawarty nad rzeką Polanówką w 1634 roku oddawał Polsce Smoleńsk, Siewierszczyznę i Czernihowszczyznę po wieczne czasy. To wtedy też Władysław IV zezwolił wywieźć do Moskwy prochy spoczywających w Warszawie braci Szujskich. W 1650 r. Jan Kazimierz udzielił Puszkiniemu zgody na wywiezienie kamiennej tablicy z grobowca Szujskich. I to wszystko, co utargował moskiewski poseł w Warszawie. (Swoją drogą, ilu mieszkańców stolicy wie o tym, że mieliśmy w niewoli rosyjskiego cara i jego braci?)

Na odsiecz przeciw zakusom Moskwy pospieszyli nam... Tatarzy. Chan zaproponował wspólną wyprawę na Moskali, pragnąc zdobyć Kazań i Astrachań. Bo-

jowego ducha, niezależnie od ilości wypitej gorzałki, pozbawił Puszkina przybyły do Warszawy z chańskimi listami Mustafa Aga, który spotkawszy moskiewskiego posła, dobył szabli, krzycząc: „Kozy brodate, baby przebrane, do kądzieli! Wkrótce was wytniem do nogi!”.

Cztery lata później Smoleńsk poddał się wschodniemu sąsiadowi niemal bez walki i utraciliśmy go już na zawsze. Minie jeszcze rok, a w granice Rzeczypospolitej wkroczą Szwedzi. Na razie jednak do oficyny Elerta przy Świętojańskiej zachodzą na pogawędki o polityce i wszystkich innych sprawach tego świata Andrzej Morsztyn, tłumaczący właśnie *Cyda*, poeta Wespazjan Kochowski czy też wybitny mechanik (ten od zegarka!) i matematyk Adamandy Kochański. To znów wpadnie tam kasztelan Jan Sobieski, opowiadając o najnowszych komediach niejakiego Jeana Baptisty Poquelina, jakie ze swoim bratem Markiem oglądali w Paryżu. A za chwilę nową psotę wymyśli młodziutki Jaś (Jan Chryzostom Pasek), który po ucieczce ze szkoły jezuitów w Rawie poznaje Warszawę z wiewiórką na ramieniu. Wreszcie – byśmy mieli i historię miłosną – młodziutka wychowanka królowej, Maria d’Arquien wyśle do prowadzącego narrację Piotrkowczyka liścik zaczynający się od słów: „Cavalerze iediny, sercu moiemu bliski”. Pannę Marię wkrótce pozna świat jako Marysieńkę Sobieską...

A w tle tego wszystkiego śledzimy perypetie carskiego posła, który spalenie książek wyblągał u króla: „Miej litość nad biednym Moskwicinem! Pozwól choć powyrywać z książek bumażki, na których jest obraza majestatu i naszej nacji, niech kat je spali i niech otrąbią, że tego nie wolno czytać. Zrób tak, królu miłościwy, żeby ja mógł po powrocie do Moskwy paść na kolana i rzec: «Monarcho mój, carze prawosławny, walczyłem o twoją sławę»”.

Jan Kazimierz po naradzie z kanclerzem Ossolińskim przystał na to i tak poszła z dymem nie tylko broszura *Gorzyna*, ale i kilkanaście stronic poematu *Władysław IV, król polski i szwedzki* Samuela Twardowskiego. Nie spodobało się to warszawianom. „Ostatnie dni pobytu poselstwa w stolicy upłynęły wśród takiego wzburzenia jej gminu – pisał Jasienica – że trzeba było mieszkanie ambasadorskie obstać wartą złożoną z setki żołnierzy”.

Powieść Zambrzyckiego niekiedy mija się z prawdą historyczną, a właściwie inaczej – miesza fakty z fantazją autorską. Ale to właśnie dodaje jej wdzięku, wzmocnionego walorami stylu imitującego staropolszczyznę. *W oficynie Elerta* zachęca do lektury fabułą, ale przede wszystkim skrzącymi się dowcipem scenkami i obrazami z życia XVII-wiecznej Warszawy.

Warto sięgnąć i do innych książek tego zapomnianego dziś autora. Debiutował przed wojną wydanymi w Roju humoreskami *Większa z kropelkami* (1929), regularnie publikując w pravicowych pismach społeczno-politycznych i je współwydając (m.in. „Merkuriusz Polski Ordynardyjny” i „Nowe Wiadomości Ekonomiczne i Uczone”). Ciekawe, że w latach 1936–1937 był cenzorem. Po wojnie pracował w „Expressie Wieczornym”, redagując rubrykę „Kto chce, niech wierzy” (później „Kto chce, niech czyta”). Napisał kilka powieści, m.in. *Pamiętnik Filipka* (1956), *Kaskadę Franchimont* (1962) i najlepiej znaną *Kwaterę Bożych Pomyleńców* (1959) – o powstaniu warszawskim. Zmarł w wieku 71 lat.

Powstały prawie pół wieku temu maszynopis *W oficynie Elerta* przechowywała rodzina pisarza. Dziś wreszcie trafia do czytelników, których – mam na-

dzieję – urzeknie swoją żartobliwością, finezją, trochę staroświeckim urokiem. A czy jest to książka podtrzymująca antyrosyjskie stereotypy? Nie, tłumaczy natomiast, skąd się one wzięły, kiedyś bowiem powstały i – jak pisze Przemysław Cieślak – „okrzepły z jakiegoś powodu, ukształtowane przez doświadczenia wspólne wielu generacjom Polaków”. Pisarstwo Władysława Zambrzyckiego to nie jest wielka literatura. To jest literatura dobra.